

A DEMOKRACJI BEZPOŚREDNIEJ ŻAL

Bywalcy lokalu „U Henia” bardzo się rozczarowali storpedowaniem przez Senat referendum zaproponowanego przez aktualnego Pana Prezydenta. Pragnęli bowiem dać upust swojemu zaangażowaniu w sprawy publiczne, wpłynąć na bieg spraw i donośnie zabrzmieć głosem ludu. Ubolewali, że nie było im dane, by odnieść się do pytań byłego Pana Prezydenta, bo niefortunne okoliczności podstawiły im nogę, kiedy zmierzali do urn. Wzmogło to u nich apetyt na demokrację bezpośrednią i liczyli z nadzieją na to, że go zaspokoją 25 października. Psychologów społecznych z pewnością zainteresuje fakt, że wykazali zadziwiającą jedność poglądów, gdy zgodnie zadeklarowali „nie” w odpowiedzi na pytania referendum wrześniowego i „tak” w odpowiedzi na pytania październikowe.

Pan Zenek, dzielnicowy, poświęcił we wrześniu swoje prawa obywatelskie dla dobra współobywateli; trudząc się bez ustanku nad zapewnieniem spokoju przed lokalem wyborczym, nie miał czasu na pobranie karty do głosowania. A chciał powiedzieć „nie” pobłażliwości wobec oszustów podatkowych. Liczył optymistycznie na dzień wolny w październiku, bo pragnął swoim „tak” zapobiec tolerowaniu kłusowników grabiących zwierzostan - nasze narodowe bogactwo.

Pan Władek, nosiciel ducha sportowego, założył się z kolegami, że do urny wystartuje z lokalu „U Henia” pięć minut przed zamknięciem głosowania i zdąży jeszcze powiedzieć „nie” skąpstwu państwa, które uniemożliwia działaczom politycznym działanie z należytym rozmachem (nawiasem mówiąc, pan Władek uważa, że dotacje należałoby rozciągnąć na obywatelskie stowarzyszenia sportowe). Traf chciał, że tuż przed metą zaczął go nieprzestrzegający ciszy wyborczej zwolennik wrogiej drużyny; nim zakuty łeb wrażego kibola uległ sławnej maczecie pana Władka, drzwi do urny się zatrzasnęły. Przygnębiony pan Władek chciał sobie powetować stratę w październiku i zagłosować „tak” za powiązaniem uprawnień emerytalnych ze stażem pracy; jego przekonania w tej materii miały podłoże merytoryczne i były niezależne od tego, że robił w sporcie od drugiego roku życia, kiedy to rodziciel zasłonił się był niewiniątkiem przed tulipanem przeciwnika, ufnie stawiając na etos rycerzy sportu.

Pan Henio, restaurator ze specjalizacją w zakresie wyszynku, we wrześniu był już bardzo blisko urny, lecz wycofał się z lokalu wyborczego na widok osamotnionej komisji usiłującej przywabić wyborcę toastami na cześć frekwencji; etyka zawodowa nie pozwoliła mu zakłócić rytuału. A chciał sprzeciwić się jednomandatowym okręgom wyborczym, ponieważ dość miał tych klientów, co niekulturalnie obrzucali go jowami. Przy następnej okazji referendalnej był zdecydowany poprzeć obowiązek szkolny od lat siedmiu; kodeks szynkarza nakazywał mu, co prawda, sprzyjać konsumpcji posiadaczy legitymacji szkolnych, lecz pierwsze roczniki młodzieży szkolnej stanowiły klientelę niewdzięczną ze względu na szczupłość zasobów i niedostatki kondycyjne, a także nadmierny potencjał wykrztuśny; już z tego względu podniesienie w szkolnictwie progu wiekowego jawiło się panu Heniowi korzystnie, nie sposób jednak pominąć takich czynników jak niezbyt wielka pojemność lokalu i uczulenie niektórych zasobniejszych konsumentów na piski przedmutacyjne. Pan Witek, mistrz karaoke a capella, nie miał na przykład zbyt wielkiego mniemania o wysokich tonach dominujących w wykonawstwie wczesnoszkolnego repertuaru pieśni biesiadnych.

Pan Jacuś, znawca infrastruktury penitencjarnej, został 6 września niewinnie posądzony o zabór mienia niewielkiej wartości; funkcjonariusz redagujący protokół skrupulatnie wygładzał lite-

rackie walory tekstu, przez co procedura przeciągnęła się znacznie ponad czas otwarcia lokali wyborczych. Pan Jacuś chciał położyć kres dotowaniu partii politycznych, gdyż oburzało go pasożytnictwo elit. Podczas październikowej recydywy referendalnej obiecywał sobie poprzeć dotychczasowe funkcjonowanie Lasów Państwowych, bo utrzymywały one na należytym poziomie zwierzostan stanowiący wspólne dobro wszystkich obywateli, w tym pasjonatów łowiectwa nielicencjonowanego.

Pan Witek, działacz śpiewaczego ruchu amatorskiego, miał zamiar opowiedzieć się przeciw jednomandatowym okręgom wyborczym, bo miał szczere przekonanie, że tym, którzy zdolni są zjednać największą ilość wielbicieli, należy się nagroda, a nie - mandat. Niestety, usiłując pogodzić wartości śpiewacze z konsumenckimi, zachłysnął się przy wykonywaniu „Górala” tak nieszczęśliwie, że został przez służbę zdrowia odseparowany od urny. W październiku chciał przyczynić się do obniżenia wieku emerytalnego, bo miał wizję powiększenia grona zdrowych i dziarskich weteranów pracy zdolnych do chóralnego śpiewu i docierania do odbiorcy bez wspomaganie się sprzętem wzmacniającym.

Pan Rycho, niegdyś w aparacie, zamierzał zaprotestować przeciwko wykluczaniu z dotacji państwowych byłych partii, które lepiej służyły społeczeństwu niż obecne. Drogę do urny zagroził mu obcy ideowo orzeł w koronie. Miał nadzieję go ominąć w październiku i poprzeć obowiązek szkolny od lat siedmiu, wychodząc z założenia, że im młodszy jest uczeń, tym mniej odporny na katechezę.

Pani Hela, fanka ojca Rydzyka, zamierzała sprzeciwić się jednomandatowym okręgom wyborczym, gdyż system pozwalający na rejestrowanie się do wyborów kandydatom niepopieranym przez partie polityczne stwarza niebezpieczeństwo awansu politycznego odmieńców czy wręcz zwyrodniałców – wystarczy, że zostaną wyposażeni przez wiadome czynniki w umiejętność kuszenia nieodpornych na grzech współobywateli; może dotychczasowe prawo wyborcze nie stanowi niezawodnej zapory przeciw genderom, wódstokom czy satanistom, lecz przynajmniej umożliwi wskazanie palcem tych, którzy ich wystawili. Pani Hela nie zdołała zagłosować, bo zapamiętała się w odmawianiu różańca i straciła poczucie czasu. Nie wyrzucała sobie jednak tego nadmiernie, bo referendum wrześniowe nie wypłynęło przecież z najczystszeźgo źródła i pal je diabli. Teraz jednak nie posiadała się z oburzenia na decyzję Senatu, która uniemożliwiła jej wsparcie pomysłu powiązania uprawnień emerytalnych ze stażem pracy; przecież wyznaczenie należycie wysokiego progu tego stażu przysporzyłoby rekrutów armii pracy finansującej jej emeryturę.

Pan Robert, badacz UFO, byłby przeciw dotowaniu partii politycznych, bo pożyteczniej byłoby przecież przeznaczyć te środki na badania kosmiczne. Jednak 6 września odleciał na pokład latającego spodka i stąd jego nieplanowana absencja. W październiku chciał poprzeć wydłużenie wieku przedszkolnego, ponieważ żał mu było zakuwać sześciolatek w kajdany przestarzałego systemu edukacji niezdolnego do odrzucenia naukowych przesądów i otwarcia się na wszechświat. Miał też zamiar opowiedzieć się za obniżeniem wieku emerytalnego i podniesieniem minimum stażowego liczonego w ziemskim układzie odniesienia, by z jednej strony, nie dyskryminować astronautów narażonych na efekty relatywistyczne, a z drugiej, zachęcać ich finansowo do penetracji przestrzeni międzygwiazdnej.

Pan Zdzicho dotarł do lokalu wyborczego. Brutalnie obudzona komisja nie dopuściła go jednak do urny pod pretekstem, że nieusuwalna obecność małżonki u jego boku koliduje z zasadą tajności głosowania.